

## Kazimierz Skibicki

Wysiedleni zostaliśmy z Łodzi tydzień przed Bożym Narodzeniem w 39 roku. Najpierw trzymali 3 czy 4 dni na Radogoszczu, potem wywieźli nas w wagonach bydłowych. Moja mama przykleiła się z futrem do ściany. Zimno było potwornie, z Dębicy później chłopci porozwozili nas po różnych miejscach. Myśmy trafili do parafii w Sandomierzu, siostry dały nam dwa pokoje. Byłem z dwoma braćmi, z moim ojcem i z moją mamą. Ojciec w 30 roku był dyrektorem dużej łódzkiej fabryki włókienniczej na tysiąc trzysta krosien, ale chciał się odciąć. W międzyczasie dziadek dostał pensję na odchodne z dyrektora Poczty Polskiej w Łodzi, oprócz tego mama moja dostała jeszcze jakąś odprawę po ciotce, która mieszkała koło Bydgoszczy i ojciec na Piotrkowskiej w podwórku założył własną produkcję. Wykonywał torby specjalne na cukier, takich toreb po prostu nie było. Proste torby a sprowadzane były z Francji i z Anglii, a ojca pewne rzeczy denerwowały.

10 czy 15 grudnia przyszli i powiedzieli, że macie się wynieść w ciągu trzech godzin. Mama zamiast zabrać jakieś ciepłe rzeczy to wzięła futro. W tym Sandomierzu byliśmy trzy, czy cztery miesiące, kilka cukrowni oddało ojcu zaległe pieniądze i przenieśliśmy się do Warszawy. I w Warszawie mieszkaliśmy na ulicy Smolikowskiego. A ja chodziłem do trzeciej klasy niedaleko, ale w między czasie rozchorowałem się na gruźlicę. Tam było normalne państwo, dostałem półroczny pobyt w Rabce z Krajowej Rady Społecznej. No i przyszedł 44 rok, a w tym czasie ja od stycznia już chodziłem do piątej klasy w Warszawie koło Dworca Wileńskiego. Przyszedł 3 maja i ten dyrektor nie bał się i zorganizował dla nas uroczystość. Było kilka osób specjalnie wynajętych, gdzie były piosenki polskie. To była bardzo patriotyczna uroczystość. To była duża szkoła około 600 uczniów, oczywiście tylko do szóstej klasy. Na tę wielką ilość nikt nie powiadomił Gestapo, przecież jego by normalnie rozwalili, ale on się nie bał. W trzech klasach piątych zorganizowali pocztę, bo już wiadomo było, że będzie powstanie. Było nas tam kilku, chodziliśmy z takimi dużymi kolorowymi torbami, żeby zwrócić na siebie uwagę. Choć policja to się najczęściej odwracała. Trzeba przyznać, że policjanci w Warszawie byli bardzo dobrzy.

Ale ponieważ mama się źle poczuła to w połowie lipca ojciec powiedział – jedziemy do Główna. No i koniec, ojciec był fajny, ale impetyk był i nie miałem dyskusji w ogóle. Tak, to pewnie byłbym tym listonoszem, Mój starszy brat został zaprzysiężony i brał udział w kilku dużych napadach na Niemców, miał stopień plutonowego podchorążego i był na ciężkim karabinie maszynowym, takim na stojaku do strzelania do latających samolotów. Niektóre samoloty latały na wysokości 30-40 m między zabudowaniami. W między czasie przyszło dwóch Holendrów z wyrzutnią, jeden z nich miał skrzynię z granatami, a drugi targał tą wyrzutnię i stojak do tego. Jak skończyło się powstanie to brat dostał polecenie, żeby tych dwóch Holendrów wyprowadzić z Warszawy, bo jak dostaną się w ręce niemieckie to ich rozwalą od razu. Brat został wysłany do obozu oficerskiego. I taka ciekawostka, z nimi jechał 12 letni chłopiec odznaczony przez Bora Komorowskiego stopniem kaprała za zapalenie trzech czołgów. I rano jak był apel to ten chłopak występował już w normalnym mundurze i z rogatywką. Później wyzwolili ich Amerykanie. Brat kupił sobie motocykl i jak wracał w 46. to na granicy Rosjanie mu go zabrali, wszystko Rosjanie zabierali, ludzie mieli wózki dziecięce to też zabrali.

Po 45. jak chodziłem do gimnazjum na Drewnowskiej, to dyrektor powiedział, że jak się nie zapiszecie do Związku Młodzieży Socjalistycznej to nie myślcie o tym, że dostaniecie maturę. I Andrzej kiedyś, to była połowa roku 49 chyba, mówi - słuchaj organizujemy Związek Białej Tarczy - i podpisałem umowę. Około 30 ludzi początkowo się tym zainteresowało. Broni

nie mieliśmy. Robiliśmy wiele rzeczy, które dziś prawdopodobnie byśmy się bali robić, np. rozrzucanie około 500 ulotek na 1 maja. Po jednej z uroczystości tego dyrektora to myśmy obrabowali kasę i między innymi sztandar i na ten sztandar przysięgaliśmy. Mieliśmy kolegę, którego ojciec był dyrektorem w Parku Sienkiewicza i tam była drukarka. Ale ten ojciec nie wiedział, co my drukowaliśmy, myślał, że to zabawa jakaś. Dwa razy zastawialiśmy się na zdobycie broni. Brat mojej babci był pułkownikiem w armii cesarsko królewskiej w Wiedniu, był zastępcą wielkiego szpitala dla oficerów. Jedyne środki na rany to była jodyna, bo się nie dało jej pić. Oprócz tego dziadek miał Serba, potężnego chłopca takiego, który miał skarpetę wypełnioną piaskiem i on dawał narkozę, bo obok tego sanitariatu, pożał się Boże, była wojna. To też w jakiś sposób na mnie działało. Dlatego zrobiliśmy taką pończochę, dwa razy się przymierzaliśmy. To była ciężka pończocha, jak jakiś Ubowiec czy milicjant miał czapkę to nie uchroniła go od uderzenia. To służyło do bicia i myśmy dwa razy czatowali. Oni mieli broń, karabin albo przypiętą kaburę do rewolweru. Ale ponieważ u nas były dziewczyny, więc one z daleka obstawiały, by w razie czego dać znać. No, ale nic z tego nie wyszło, bo facet za szybko wszedł w bramę i koniec, broni nie zdobyliśmy. Był rynek, na którym można było wszystko kupić, ale byle jaki rewolwer, w miarę strzelający to była kwota co najmniej 15 tysięcy, a myśmy po prostu takich pieniędzy nie mieli.

Oprócz ulotek, kilkustronicowych biuletynów, były pojemniczki na czerwoną farb, które używane były do oblewania afiszy, planszy. Co myśmy oblali to za dwa trzy dni ukazywała się nowa. Ale jednak gdzieś ślady zostawialiśmy, człowiek nie zdawał sobie sprawy, że głupie place mogą doprowadzić do czegoś. I przyszedł rok 50. 24 czerwca. Przyszedłem rano do Andrzeja, a jego siostra mówi, że go aresztowali, więc ja już nie czekałem, tylko wstąpiłem do mojego ojca do pracy. Mój ojciec był inżynierem włókiennikiem i był wicedyrektorem Zjednoczenia Przemysłu Artykułów i Tkanin Technicznych. Miał fogla na tym punkcie, doszedł do wniosku, że około 50 artykułów to się sprowadza z zachodu, a przecież możemy to zrobić w Polsce. I ojciec na ziemiach zachodnich uruchomił około 40 niewielkich zakładów.

I poszedłem do ojca i mówię – tato aresztowali mojego kolegę – a mój ojciec był zasadniczy, mówi - jak żeście narozrabiali to musicie ...on sobie po prostu nie zdawał sprawy, co będzie. Poszedłem do domu i czekałem, bo wiedziałem, że oni przyjdą. Przyszło trzech i od razu mówią – ty jesteś Skibicki Kazimierz - to była bezdenne głupota, otworzyli szafę to wyrzucali wszystko. Trwało to ze trzy godziny i przyjechał ojciec. Każdy z nas zbierał różne ozdoby, znaczki jakież, to oni to wszystko deptali. Tam był Piłsudski ...i zawieźli nas na Anstadta.

Być może któraś z dziewcząt powiedziała, być może dwie dziewczyny mówiły, ta jedna z tych dziewczyn, która już umarła tu w Łodzi, to właśnie ona tuż przed śmiercią przyznała się, że kazali jej się rozebrać i pęsetą wrywali włosy łonowe. To dla młodej dziewczyny było i bolesne i straszne. Przesłuchiwali nas na III piętrze. Po obu stronach są takie klasy. Po jednej stronie była grupa piszących i czytających, a po drugiej my byliśmy badani przez takich, nieczytających i niepiszących, młodych ludzi prawdopodobnie ze wsi za dobre pieniądze. Oni przynosili ołówki i papier i kazali nam pisać życiorysy i te życiorysy odnosili później na vis a vis. I jeśli tamci ludzie czytając zauważyli, że jest jakaś pomyłka między jedną, a drugą sprawą, to takim przywitaniem było uderzenie płaskimi dłońmi z całej siły w uszy. Ja trochę gorzej miałem z lewym uchem, ale słyszałem, natomiast moich dwóch kolegów z pobytu na Sztetlinga to obaj byli zupełnie ogłuszeni.

Było takie krzeselko, na którym się siedziało, a to siedzisko było malutkie, więc dla młodego chłopca ... siedziało się godzinami. Mnie ze dwa razy znaleźli jakąś nieścisłość, to normalne było bicie po twarzy. Ja wariat zacząłem rozmawiać z tym przodownikiem, dlaczego nie

mamy takiego państwa, jak ma Jugostawia, która sprzeciwiła się wtedy Związkowi Radzieckiemu, i on mnie wtedy kolbą pistoletu uderzył w nos. I poleciała krew, to on wyciągnął z kieszeni jakąś szmatę i wepchnął mi w tego nosa i nic się nie działo przez kilka dni. Ta przegroda nosowa się przesunęła zupełnie na lewą stronę i zrosta się tak.

I oprócz tego jeszcze przysiady i pompki. Po 20/30 pompkach to ja już leżałem, to mi kopniaki dawał i przysiady przy ścianie. Pamiętam do dzisiaj, że zrobiłem 100 przysiadów, ale już 101 nie mogę, więc najczęściej brał za włosy i musiałem robić te przysiady. I na tej ścianie to była taka ścieżka czerwona. Mieli też pejcz z ciężarkiem i obijali kręgosłup. Oczywiście nie było żadnego jedzenia, nie było żadnego picia. To była później niedziela, poniedziałek i wtorek. Przez te trzy dni nic nie jedliśmy. I załadowali nas na ciężarówkę pospinali nam ręce, a Ala przyszła żona Andrzeja śmieje się, że wyjęta, no to wyrznął ją w twarz. Miała spory ślad po uderzeniu. Zawieźli nas na Szterlinga i tam byliśmy chyba ze dwa tygodnie. Na Szterlinga było nas już około 18 czy nawet 20 osób, po 5 – 8, a oddzielnie dziewczyny. Potem zostaliśmy przeniesieni do celi na II piętrze., bo na I były wyroki śmierci. To były 30 osobowe cele, drewniana posadzka na szczęście i tam po dwóch tygodniach przewieźli nas ponownie na Anstadta. Ja siedziałem na parterze w takiej trochę wyższej jak piwnica celi. Pierwszy raz jak przynieśli jakąś zupę patrzę a tam takie czarne, myślę sobie tyle pieprzu dali do tego, a to takie robaczki były, kawałek chleba czarnego i to musiało być i na rano i na wieczór.

Zaczęły się przesłuchania, bardzo często nas brali w nocy, o 1 w nocy, o 2 w nocy. Jak potem procesy były, to sprzątaczką, no ona przecież tylko sprzątała, to ja kiedyś dostałem taką mokrą szmatę właśnie od takiej sprzątaczką w twarz. I tam nas trzymali do połowy września, potem znów przewieźli na Szterlinga. Rodzice nas zobaczyli dopiero na procesie.

Wyrok 10 lat. Jedyne więzienie młodociane miało wychowywać nas dla partii. Pracowałem tam na stolarni, na grubościówce, później przy takich ciężkich oblodzonych kawałach drewna na pile tarczowej, pod takim okapem. Do dzisiaj mam odmrożenia. Jak się pracowało dobrze, można było mieć widzenie przy stoliku. To wtedy brat mój wyjmował 5, czy 6 pudełek papierosów, kawałek kiełbasy.

Ja wyszedłem 1 stycznia 55 roku, dostałem kartkę na kolej, dojechałem do Katowic, które nazywały się wtedy Stalinogród. Nie wiedziałem jak do mojego starszego brata się dostać i w takim płaszczu z matą paczuszką stałem i patrzyłem na taksówki. No zatrzymała się taksówka i kierowca uśmiechnął się do mnie i mówi niech pan wsiada, zawiózł mnie do brata, wysiadam – i mówię – ile płacę, a on mówi – tacy jak ty nie płacą, jesteśmy w Polsce, można sobie najwyżej splunąć, ale tak żeby nikt nie widział.

Później wróciłem do Łodzi, miałem skończone gimnazjum i chciałem zrobić maturę, za każdym razem dyrektorzy odmawiali mi przyjęcia do liceum. Później się pojawił taki znany łódzki patriota, którego liceum było na Narutowicza i on nie bał się przyjąć nas, bo to nie tylko ja, jeszcze dwie koleżanki i nas trzech, wszyscy ze Związku Białej Tarczy i on się nie bał. I po dwóch latach zrobiłem maturę, a ponieważ bardzo lubiłem fotografie robić, chciałem się zapisać do Wyższej Szkoły Filmowej. Złożyłem tam podanie, próby zdjęć i dostałem kartkę, proszę się zgłosić w dniu takim i takim, wtedy już nie było UB tylko do urzędu SB. Tam mnie wpuszczono, przyjmował mnie jakiś kapitan i mówi – no, co Skibicki spodobała ci się Wyższa Szkoła Filmowa? Tego dnia, kiedy Ty złożyłeś pismo my już dostaliśmy informację od nich, ty zgłupiałeś – mówi – idź do roboty!

Jeszcze 10 lat temu, jak przyjechał rosyjski zespół do Łodzi, to ja 60 tych afiszy oblałem. Oczywiście nie wiedziała o tym moja żona, na pewno by się denerwowała.